# OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO"

NR. 8 | WĄBRZEŹNO, DNIA 22 LUTEGO 1936 ROKU | ROK 6

## Mikołaj Kopernik

**Nieśmiertelny jako genjusz, a zapomniany jako człowiek.**

Mikołaj Kopernik, genjalny polski astronom, który „wstrzymał słońce, ruszył ziemię", należy do największych genjuszów, jakich wydała ludzkość. Imię jego oznacza bowiem rozświetlenie jednej z największych tajemnic natury, poznanie prawdy o budowie wszechświata.



Ogólnie wiadomo o Koperniku, że był rodem z Torunia, że napisał wiekopomne dzieło „O obrotach ciał niebieskich", znane nam są także niektóre ważniejsze szczegóły z życia i działalności Kopernika, oraz pamiętamy jego wizerunek, głównie ze słynnego obrazu Jana Matejki.

Dla ogółu jednak Kopernik jako człowiek nie istnieje. Dzieło przygniotło twórcę. Kopernik zawarł się cały w sześciu tomach swego wiekopomnego dzieła, zatracił w niem swą osobowość, swe ludzkie kształty. — Genjalna myśl, zabiła żywego człowieka. Mikołaj Kopernik niema dotąd swej legendy, a nawet w twórczości literackiej rzadko spotykamy się z postacią wielkiego astronoma. Wyspiański, wielki reformator dramatu historycznego, Kopernikiem się nie zainteresował. Inni dramatopisarze, wprowadzający Kopernika na scenę, nie umieli wyczuć w genjuszu żywego człowieka, posługując się tylko szablonem kroniki historycznej bez większego efektu.

Dopiero powieść znanego pisarza L. H. Morstina pt. „Kłos Panny" ukazała nam Kopernika, jako żywego człowieka. Powieść ta i dramat według tej powieści napisany przedstawia nam drogę, którą musiała przebyć myśl Kopernika, by stać się zdolną do stworzenia genjalnego dzieła. Zajmuje się więc autor istotną treścią życia Kopernika, przechodzi umiejętnie obok dzieła, które przygniotło swego twórcę i daje nam postać prawdziwego człowieka.

Jest to pierwsza udatna próba w tym kierunku. Na tem jednak poprzestać nie można. Mikołaj Kopernik musi odżyć w oczach ogółu. Nauka i prawdziwy artyzm mają tu szerokie pole działania.



Ostatnie chwile Mikołaja Kopernika

## Dziesięć rad dzieci japońskich

Wiecie, że Japonja leży daleko, na wschodzie: za Rosją, Mandżurją, Chinami. Mieszkańcy tego kraju są narodem bardzo dzielnym, który w ostatnich czasach dokonał wielkich rzeczy. W Japonji są szkoły tak samo jak i u nas, a bodaj czy nawet nie lepsze od niektórych naszych. Otóż w szkołach japońskich wpaja się dzieciom następujące prawidła życiowe, jakby przykazania:

1) Miłuj swój naród i oddaj się zupełnie na usługi jego.

2) Masz służyć rodzicom z największą troskliwością, żeby im odwdzięczyć się za ich miłość ku tobie.

3) Bracia i siostry mają się nawzajem kochać i żyć w zgodzie i pokoju.

4) Każdy powinien pomagać drugiemu w tem, co dobre, a powstrzymywać od złego, wszystko jedno, czy to są przyjaciele, czy też obcy ludzie.

5) Trzymać się zdala od złego, to początek mądrości: ostrzegajcie się więc przed złem, jeden drugiego.

6) Poznaj przeszłe dzieje swego narodu i kraju, żebyś umiał mu służyć rozumnie.

7) Smutnym i uciśnionym okazuj współczucie i pomagaj im według sił swoich.

8) Choroba wchodzi przez usta do ciała, bądź więc ostrożny w jedzeniu i piciu.

9) Zawsze szanuj godność własną i zachowaj szlachetną dumę, nie płaszcz się i nie ubliżaj sobie.

10) Dla honoru rodziny swojej i narodu trzymaj się wiernie przepisów pozostawionych przez przodków.

Wcale mądre i piękne są te wskazówki. Brak w nich tylko wzmianki o jednej, najważniejszej rzeczy — o Bogu. Ale nic dziwnego, wszak to jeszcze poganie.

Ty, Droga Młodzieży Polska, znasz Boga prawdziwego. Dołącz swoje względem Niego obowiązki do tych rad i żyj według nich, a będą one naprawdę piękne i mądre, będzie miał z Was Bóg chwałę, rodzice chlubę a naród pożytek.

## O autorze najpiękniejszych książek

W roku ubiegłym obchodziła Danja uroczyście niezwykłą rocznicę. Mijało sto lat od ukazania się pierwszego tomu bajek Andersena, narodowego pisarza i duńskiego poety. Ojciec jego był szewcem i nie myślał zapewne o tem, że jego syn będzie kiedyś uroczyście podejmowany na dworach królewskich; takie rzeczy mogą zdarzać się tylko w bajce, ale tak się właśnie stało w życiu i to dzięki bajkom. Mały Jan Krystjan wyrastał w ciężkich warunkach, pozbawiony rówieśników — potrafił jednak rozjaśnić smutne lata dzieciństwa, dzięki swojej niepowszedniej fantazji.

W 14 roku życia traci ojca, czas, aby pomyślał o sobie, matka pragnie go oddać do krawca, widziała przecież z jakim zapałem szył swoje lalki, ale jemu przypomina się teatr, który bawił niedawno w rodzinnem Odense. Postanawia dostać się do teatru.

Udaje się tedy do Kopenhagi i tu zostaje przyjęty do operowej i baletowej szkoły. Chociaż nie utrzymał się w niej długo, znalazł jednak opiekunów, którzy dopomogli mu w uzupełnieniu wykształcenia. Że nie obeszło się przytem bez upokorzeń świadczą pełne goryczy echa w późniejszych bajkach.

Jeszcze w szkole baletowej pisze swoje pierwsze utwory, a więc: teksty do oper — nigdzie nie grywanych i nigdzie nie wystawiane tragedje. Teraz na ławie szkolnej budzi się w nim świadomość, że będzie pisarzem. Pisze utwory satyryczne i wiersze, jeden z nich „Umierające dzięcię" zamieszcza Heiberg w swojem czasopiśmie, ale później jego utwory z okresu studjów uniwersyteckich, nie znajdują już uznania artystów grupujących się wokół Heiberga, — chłodno przyjmują je także krytyka i publiczność. Zniechęcony wyjeżdża zagranicę, najpierw do Szwajcarji, a potem do Włoch. Dopiero dzieła powstałe na obczyźnie torują mu drogę do sławy. Są to „Improwizator" powieść osnuta na tle wrażeń włoskich, oraz pierwszy tom bajek, wydany w 1835 r.

Zbiór bajek pomnażany z roku na rok i tłumaczony na obce języki, znajduje szybko miljony czytelników.

„Życie moje jest najpiękniejszą baśnią", powiedział kiedyś o sobie i słusznie, spędził je niemal całe na podróżach po Europie, Azji i Afryce. Przez dłuższy czas mieszkał na wybrzeżu Oceanu spokojnego, między prostymi rybakami chińskimi.

A bajki, niezrównane i pełne fantazji i miłego, osobistego humoru pisał niemal przez całe życie — drugi tom wydał 1838, trzeci w 1843, a dopiero na trzy lata przed śmiercią w roku 1872 ostatni.

Pięćdziesiątą rocznicę przybycia jego do Kopenhagi (6. 10. 1869), obchodzono w całej Danji uroczyście jako święto narodowe. Mimo zdobycia sławy został samotnym, nigdy nie mógł się wyzwolić spod wpływu ciężkich przeżyć dzieciństwa.

Zmarł otoczony sławą, jakiej przed nim, ani po nim nie zaznał żaden z pisarzy duńskich. Odense, jego miasto rodzinne poświęciło mu specjalne muzeum — można znaleźć tam listy pisane do niego przez małych czytelników jego bajek, fotografje inscenizacyj a nieraz wspaniałe wydania baśni w najrozmaitszych językach ziemi.

Przy wjeździe do portu w Kopenhadze wita podróżnego syrena z bronzu siedząca na skale zapatrzona wdal. Syrena jest postacią z jego bajki — w ten sposób uczciła go stolica. Na placach miast duńskich widzi się często pomnik starego pana opawiadającego z uśmiechem baśnie otaczającym go — zasłuchanym dzieciom. To Andersen. Wciąż opowiada baśnie miljonom zasłuchanych dzieci. Znają go dzieci Anglji i Japonji, Polski i Brazylji, bo wszędzie dotarł do serc dziecięcych, on Jan Krystjan Andersen, syn ubogiego szewca, którego życie było jedną bajką, a którego baśnie trafiają na poddasza równie dobrze, jak na dwory królewskie.

P.



Na przypiecku

## Lis i wilk

Wiózł rybak pełen kosz ryb, lis widział to i dostał wielki na ryby apetyt. Pobiegł więc naprzód, rozciągnął się na drodze, przytrzymał oddech i leżał jak nieżywy.

Nadjechał rybak i ujrzawszy nieżywego lisa, wziął go, wrzucił na wóz i pomyślał:

„Sprzedam skórę kuśnierzowi, będę miał parę groszy na tabakę". I pojechał dalej.

Lis tymczasem strącał ostrożnie z kosza jedną rybkę po drugiej na ziemię, a gdy już kosz był próżny, zeskoczył z woza, poznosił ryby do swej nory i jadł, aż mu ości w zębach trzeszczały.

Tymczasem nadszedł wilk. Głodny był, bo od dwóch dni nie ułowił żadnego zwierzątka, gdy więc ujrzał lisa zajadającego ryby, oblizał się i zapytał grzecznie:

— Gdzie to panie lisie schwytałeś te rybki?

— W rzece, panie wilku, w rzece. Usiadłem nad przerębłą, wsunąłem łapę w wodę i rzekłem: „rybki chodźcie, bom głodny"!

— I rybki przyszły?

— Naturalnie! Czekałem aż ich się nazbierało dużo, wtedy zagarnąłem łapą i wydobyłem je na lód. Teraz bardzo mi smakują!

Wilkowi bardzo się to podobało. Nie namyślając się długo, poszedł nad rzekę, usiadł nad przerębłą i wsunął łapę w wodę. Oj, zimno mu było, ale głód dokuczał, więc czekał cierpliwie. Rybki nie zbliżały się! Łapa sztywniała mu już od zimna, mróz zwiększał się z każdą chwilą — wilkowi aż łzy płynęły z ślepiów — lecz czekał jeszcze ciągle...

Nagle nadbiegł pies i zobaczywszy wilka, głośno szczekać zaczął. Wilk przestraszył się, bo wiedział, że gdzie są psy, tam są też i ludzie, i chciał uciekać, lecz już nie mógł! Łapa przymarzła mu, nie mógł jej wyciągnąć. Zawył biedak z bólu i strachu, nic mu to jednak nie pomogło. Ludzie usłyszeli jego wycie i uzbrojeni w drągi i kłonice, pędzili ile sił starczyło, na wilka.

— Bijcie go! — krzyknęli — dosyć nam szkody narobił!

I zabili go.

A lis słyszał i widział to wszystko i śmiał się z głupiego i łatwowiernego wilka.

## O pewnym karzełku

W dziupli starego drzewa żył karzełek. Był on stary jak to drzewo, albo może i starszy. Lecz w jego oczach błyszczała radość, która mówiła, że siwy karzełek czuje się młodym. A może istotnie karzełek był młodym, bo któż wie, jaką rachubę stosują karły przy obliczaniu swych lat. Zresztą mniejsza o lata, dość wiedzieć, że karzełek wciąż przemyśliwał nad tem, coby zrobić, ażeby na świecie było jeszcze lepiej i ładniej; ażeby wszyscy ludzie byli szczęśliwi i dobrzy.

Dumając tak pod starem drzewem, nawet nie spostrzegł człowieka, który zabłąkał się w lesie i nie mógł znaleźć drogi. Karzełek niby czuł podświadomie, iż powinność nakazuje mu usłużyć człowiekowi, lecz owe rozmyślania o szczęściu wszystkich ludzi tak zmąciły jego umysł, że zupełnie stracił poczucie swych obowiązków. Świat najbliższy był dla niego jakby mgłą zasłonięty.

Natomiast w błogiem podnieceniu cieszył się nadzieją obdarzenia kiedyś ludzi szczęściem bez miary, o jakiem nikomu nawet nie śniło się nigdy.

Była wczesna jesień. Karzełek chodzi po lesie i medytuje. Nawet nie stara się pocieszyć wiewiórki, która zgubiła jedyny znaleziony tego dnia orzeszek i teraz płacze. Przechodzi koło niej obojętnie, jakby jej wcale nie widział. Idzie sobie dalej. Nagle przystanął. Szczęśliwa myśl wpadła mu do głowy. Już wie, co zrobi. Nic więcej tylko przemaluje listki drzew. Wciąż zielone i zielone... chyba to znudzić może. Zaś kto się nudzi, nie może być szczęśliwy.

Karzełek zabiera się do pracy. — Szuka barwnika, miesza, tworzy farby, rozrabia, dobiera kolory, próbuje pendzla na trawce — i cieszy się, cieszy się ogromnie, że uszczęśliwi ludzi i ptactwo i zwierzęta, że ziemię w raj przemieni, w jeden ogród kwitnący. Bo co listek na drzewie — to inny wzorzysty kwiat.

Już ma wszystko gotowe. Już wspina się na drzewa, już rozkłada paletę... już maluje. Maluje cichaczem, pokryjomu, aby ludzie nie spostrzegli, aby tem większa była potem niespodzianka i tem większy zachwyt.

Już pierwszy listek gotowy. Cacko. Potem drugi i trzeci... setny i tysiączny. A co jeden to ładniejszy.

Na tej pracy zeszło mu kilka tygodni. Ani się spostrzegł, jak ten czas pracy szybko minął. Przyjemna robota. Szkoda, że już wnet koniec. Jeszcze aby te kilka drzew — i koniec trudu.

Spieszy się karzełek, bo noc nadchodzi. Gniewa się na nią, bo co dzień — to go prędzej odgania od pracy. — Wiadomo: zazdrości.

Ale dziś postanowił skończyć. Koniecznie, gdyż jutro święto, ludzie tędy gromadnie będą przechodzić do kościoła.

Więc karzełek macha pendzlem na wszystkie strony... listek nie listek, gałąź nie gałąź. Leje się farba po pniu, kapie z liści na bujne mchy, na wrzosy kwitnące. Wreszcie koniec. — Wprawdzie w takim pośpiechu niejeden listek ani farby nie widział, ale to poprawi się jutro raniutko, kiedy jeszcze mgła gęsta.

Karzełek niecierpliwie oczekuje rana. Tyle przecież ludzi pójdzie koło lasu, tyle pochwał spadnie na malutkiego karzełka...

Ale ranek jest uparty. Powiada, że mu się nigdzie nie spieszy. Jesienne prace pokończone, za czem ma galopować? Karzełek tymczasem złości się i tupie nogą. Ranek, widząc to, umyślnie stanął i ani rusz. Dopiero gdy słonko śmignęło go promykiem leciuchnym po czuprynie ruszył z miejsca.

Karzełek z farbami i pendzlem stoi przed progiem swej leśnej chatynki. Ranek uśmiecha się drwiąco. Karzełek przeciera zamglone oczy i nie chce wierzyć.

O, rety!

Większość malowanych liści leży na ziemi. Na drzewach sterczą nagie gałęzie. Okrutne nieszczęście. Karzełek rzucił farby i zapłakał rzęsistym deszczem. Potem wtulił się do dziupli aby go nikt nie widział. Przez małą szparkę spoglądał na świat, gdy posłyszał ludzkie kroki. Był jeszcze ciekawy, jak ludzie osądzą jego wysiłek daremny.

Lecz i tu czekał go zawód. Nikt z przechodzących nie zwracał uwagi na las, ani liście pod stopą płaczące. Gospodarze w skupieniu oglądali rosnącą pod lasem oziminę i chwalili jesień. Jeden z nich wskazał na gęstwinę leśną i rzekł:

Wiecie, tutaj raz błąkałem się całą noc.

— Pewnie jakie „złe" tu siedzi — jak myślicie?

Karzełek, słysząc te słowa, wtulił głowę w najciemniejszy kąt swej kryjówki, gdzie długo rozmyślał nad swoją winą. Po pewnym czasie, pełen najlepszych postanowień na przyszłość, odważył się wreszcie podnieść głowę. To, co zobaczył, zadziwiło go. Jakaś dziewczynka zbierała najpiękniejsze liście i wiła z nich wieniec. — Karzełek uśmiechnął się. A więc jest ktoś, komu podobają się malowane liście. Zatem jego trud nie był całkiem daremny. Byłby się może dłużej rozpływał w usypiającej błogości, gdy wspomniał sobie o obowiązku czuwania nad dziewczynką, aby nie zbłądziła w lesie. Raźno zabrał się do tego. Dziewczynka tymczasem uwiła dwa wieńce i poniosła na cmentarz.

Wł. Dunarowski.



W gościnie u babci

## NIE PYTAJ

Gdy widzisz chorego i możesz mu ulżyć,
Nie pytaj, przyjaciel czy wróg!
Ratuj go w cierpieniu. To prawo ludzkości
Zachować nam kazał sam Bóg.

Gy widzisz nędzarza, co z głodu umiera,
Nie pytaj, co robił, jak żył,
Ulituj się nad nim, daj chleba kawałek,
By wrócił do życia, do sił!

Gdy widzisz człowieka, co w smutku, niedoli
Wyciąga do ciebie swą dłoń,
Nie pytaj, czy kiedy odwdzięczy się za to,
Z pomocą, z ratunkiem spiesz doń!

## Dzielny chłopiec

Na zachód od nas, za Niemcami leży mały kraik, zwany Holandją. Dzielny tam naród mieszka, rzetelny, uczciwy i niesłychanie pracowity.

Holandja leży nad morzem, które dawnoby zatopiło niskie jej brzegi, gdyby mieszkańcy nie pobudowali wysokich grobli od strony morza. Muszą one być w wielkim porządku zawsze utrzymane, gdyż lada szpara może spowodować zatopienie miast i wsi. Najmniejsze dzieci w Holandji wiedzą, jakie nieszczęście grozi, gdy woda przedrze się przez groblę.

Pewnego razu ośmioletni chłopiec holenderski, imieniem Robert, wracał do domu z drugiej wsi, dokąd go posłał ojciec, który był dozorcą śluz w grobli. Po drodze chłopiec rwał kwiaty i śpiewał wesołe piosenki, gdy nagle spostrzegł, że słońce zaszło i ściemniać się zaczęło. Strach go ogarnął, więc począł biec co sił, żeby jaknajprędzej być w domu. W tem usłyszał dziwny szmer wody — to go zastanowiło, zwolnił kroku i bacznie zaczął oglądać groblę. Jakoż w jednej z grubych desek spostrzegł niewielką dziurę, przez którą sączyła się wązka struga wody. Robert zrozumiał że jeśli dziura pozostanie niezatkana woda ją wkrótce rozszerzy i może zatopić pola, łąki i wieś, zrozumiał, że trzeba temu szybko zaradzić; rzucił więc kwiaty usiadł na śluzie jak na koniu i palcem zatkał dziurę. Woda przestała się sączyć chłopak ucieszył się niezmiernie. „Ach! — zawołał — nie puszczę cię, zła wodo! nie puszczę, żebyś zatopiła nasze ukochane pola i chaty".

Wkrótce jednak dziecko przestało się cieszyć. Mrok szybko zapadał, zrobiło się zupełnie ciemno. Chłód nocny przejął chłopca do kości, a strach ściskał mu serce. Wołał pomocy — lecz nikt go nie słyszał i nikt nie przychodził. Robiło się coraz zimniej. Dziecku zdrętwiał z początku palec, potem ręka a wkońcu całe ciało.

— Tatusiu! — mamo! Chodźcie prędzej, prędzej! bo już sił nie mam — wołało biedne dziecko.

Ale nikt go nie słyszał... Rodzice sądząc, że został na noc u krewnych, położyli się do snu spokojnie, nic nie przeczuwając, co się z ich synem dzieje.

Robert próbował gwizdać, ale zęby mu latały, że mu się to nie udawało. Wtedy zaczął modlić się gorąco, żeby Pan Bóg dopomógł mu wytrwać do rana. Położył się teraz na śluzie, ale palca ani na chwilę nie wyjmował z dziury, tarł tylko od czasu do czasu wolną rękę o zdrętwiałe ramię; głowa opadała mu często ale za najmniejszym szmerem ją podnosił. Księżyc oświecał bladą twarzyczkę, po której spływały łzy.

W ciągu długiej nocy chłopiec myślał o rodzicach, o braciach i siostrach, którzy zasypiali spokojnie, podczas gdy on sam jeden tak się męczył strasznie. Palec mu spuchł, w uszach dzwoniło, w oczach ciemno się robiło chwilami...

O świcie przechodził jakiś człowiek, usłyszał ciche jęki, a zobaczywszy dziecko, zawołał zdumiony:

— Co tu robisz chłopcze?

— Nie puszczam wody — wyjęczał chłopiec.

Przybyły uwolnił natychmiast Roberta, który upadł zemdlony. Nieznajomy wolną ręką przyłożył mu mokrą chustkę do czoła. Chłopiec otworzył oczy.

— No, mały — rzekł nieznajomy — musisz jeszcze zebrać siły i pobiec po dozorcę śluz, żeby załatał tę dziurę. A śpiesz się, bo choć ja jestem dorosłym mężczyzną, nie ręczę, czy mi starczy sił, aby męczyć się tak długo, jak ty.

— Niech się pan nie leka, odpowiedział Robert — ojciec mój jest dozorcą, sprowadzę go natychmiast.

Poszedł, jak mógł najprędzej, i wkrótce ojca sprowadził. Dziurę zatkano i śluzę naprawiono.

Ośmioletnie dziecko uratowało od powodzi całą okolicę.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje
Wszystkie inne — a siebie zrysować nie daje,
Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej da się skaleczyć, niż samo zadraśnie

Z mądrości bramínów.

## ZABAWA NA DWORZE DLA CHŁOPCÓW

### *Śnieżka.*

Gra dobra podczas pogodnych dni zimowych, kiedy na dworze jest wiele śniegu. Dzieci stają zwartem kołem jedno przy drugiem, w środku wykopują dołek w ziemi albo w śniegu, w którym złożono tyle kul śnieżnych, ilu jest chłopców. Każdy z chłopców obiera sobie nazwę jakiegoś narodu (Francuz, Polak, Anglik i Włoch). Na uboczu stoi „sędzia", który wywołuje nazwę jednego z chłopców, mówiąc „Polak". Wtedy chłopiec, nazwany „Polak" dobiega do dołka, w którym są złożone kule śniegowe i mierzy nią w jednego z towarzyszy, wołając znowu naprzykład „Francuz". Jeżeli „Polak" chybi, wszyscy chłopcy dobiegną do dołka i obrzucaja ostrożnie niezgrabę, a jeżeli rzuci trafnie, zapisuje sędzia patykiem na śniegu jedną kreskę na pochwałę. Gra się zwykle do dziesięciu. Kto pierwszy dojdzie do wyznaczonej liczby 10, zostaje za zręczność „koronowany", dostając od wszystkich chłopców miano króla i następną zabawę prowadzi. Sędzia morze wywołać wszystkie narodowości, wołając: — „powstanie narodów", wtedy wszyscy chłopcy ogólnie obrzucają się śnieżkami.

## MAGICZNA LICZBA: STO PIĘTNAŚCIE.

Poproś kogoś, aby wziął na chwilę ołówek i kawałek papieru. A później zapytaj go tonem mocno niezdecydowanym:

— Ile masz lat? — i niech odrazu liczbę tych lat napisze, nie pokazując Ci jej.

— Teraz proszę pomnożyć przez... dwa. Tak. Do otrzymanej sumy dodać pięć. A całość pomnożyć przez pięćdziesiąt.

— Nie omyliłeś się?... Sprawdź. — Zgadza się. Dobra! Teraz do tej sumy należy dodać lata siostry, brata, czy ojca, wszystko jedno. Można wybrać, kogo się chce.

— W porządku? Jest suma? No, dobrze.

Już zbliżamy się do końca... Od otrzymanej sumy trzeba odjąć... odjąć..., weźmy liczbę dni w roku: trzysta sześćdziesiąt pięć. Co wypadło? Niby zdziwiony jesteś, niby zaniepokojony, ale w myśli do podanej sumy dodajesz 115. — magiczne 115. I co się stanie? Otrzymasz czterocyfrową liczbę. Dwie cyfry z lewej strony to wiek pierwszej osoby, dwie pozostałe — brata, czy siosty. I gotowe! Cudów niema. Jest głowa.